



## ANNA JUNG-FALIŃSKA

---

### Ochotniczka Anna Jung-Falińska, siostra pielęgniarka Szpital Wojenny nr 3.

---

Po zajęciu naszych terenów przez władze sowieckie ojca mego aresztowano 3 października 1939 roku i w związku z tym wysłano mnie z matką i bratem do ZSRR 13 kwietnia 1940. Wieziono nas w wagonie towarowym wraz z 34 osobami. Podróż trwała 17 dni. Potrzeby fizjologiczne załatwiano wewnątrz wagonu. Zaduch i ciasnota do tego stopnia dawały się odczuwać, że ludzie omdlewali. Pożywienie otrzymywaliśmy co jakiś czas, przeważnie w nocy, budzeni waleniem kolb karabinowych w drzwi. Wodę przeważnie trzeba było zdobywać własnym sprytem.

Po wyjściu z wagonu po 17 dniach podróży, ludzie omdlewali i padali skutkiem zmęczenia i zawrotów głowy. W ciągu drogi towarzyszyły nam stale przekleństwa i odgrażanie się pod adresem „burżujów” i „polskich panów”.

Ostatnią naszą stacją kolejową był Pawłodar w Kazachstanie. Stamtąd zawieziono nas autami ciężarowymi o 100 kilometrów dalej do wsi Czarna, a następnie na fermę owczą – o 10 kilometrów od wspomnianego posesiołka. Mieszkaniem naszym był wałący się barak bez okien, drzwi, podłogi i pieca. Natychmiast po przyjeździe kazano nam pracować, a więc lepiłam glinę stajnie, pasłam barany, wyrabiałam na zimę opał (nawóz barani ze słomą), z którego oczywiście korzystali tylko tubylcy. W okresie sianokosów wysłano nas w step i tam kosiliśmy siano od świtu do późnej nocy. Wynagrodzenie było bardzo marne, nie przekraczało mimo [wykonania] pełnej normy 50 rubli. Działo się to wskutek oszustwa miejscowych władz, a z naszej strony z powodu dziwnej bojaźni, jaką w stosunku do nich odczuwaliśmy. Nic dziwnego, gdyż były tam [wśród nas] same kobiety i starcy – mężczyźni niezdolni w ogóle do pracy, przy tym nie znaliśmy swych praw i ich obowiązków względem nas. W ten sposób dałyśmy się oszukiwać i wyzyskiwać i gdyby nie rzeczy (ubrania, bielizna)

przywiezione z domu, trzeba by z głodu przymierać. Mimo sprzedanych rzeczy, przez cztery miesiące zimowe 1940/41 żywiliśmy się prawie wyłącznie plackami z grysu. Zima tego roku była wyjątkowo ostra. Szalały straszne burze śnieżne i mrozy. Tory kolejowe były zasypane, paczki żywnościowe nie dochodziły, ciepłych ubrań dostosowanych do miejscowych warunków klimatycznych nie mieliśmy, by pójść do pracy w step (karmienie baranów), a tylko pracującym dawano 40 dekagramów mąki dziennie. Pracowałam więc przy czyszczeniu stajen baranich lub końskich w niby cieplejszych warunkach, bo przynajmniej przez pewien czas osłonięta przed wiatrem. Mimo to nogi, ręce i policzki odmroziłam, a z powodu bardzo skromnego odżywiania zapadłam na zdrowiu. Warunki polepszyły się nam nieco w kwietniu, kiedy to wreszcie dotarły do nas paczki żywnościowe z Polski, wysłane jeszcze w grudniu. Stałym naszym pożywieniem było pszeno, rzadziej mąka i tłuszcz barani. Jarzyn i owoców nie było wcale. Mąka i pszeno w cenie 200 – 350 rubli, więc nasze zarobki w żadnym wypadku nie wystarczały. Kazachowie, wiedząc o naszym położeniu, odstępowali nam miskę mąki za prześcieradło czy dobrą zupełnie koszulę.

Stosunek miejscowych władz NKWD do Polaków był zupełnie bierny. Nie dokuczali specjalnie, obiecywali zawsze polepszenie warunków mieszkaniowych i materialnych. Ale kończyło się tylko na obietnicach. Natomiast nasze władze administracyjne miejscowe, w skład których wchodziłi Kazachowie, były ustosunkowane do nas wręcz nieprzyjaźnie. Uważali nas za ludzi specjalnie niżej postawionych, na każdym kroku okazywali swą rzekomą wyższość i przewagę, a specjalną przyjemność sprawiało im dokuczanie polskim burżujom i panom. Są to zresztą ogólnie znane i spotykane ich zwroty i frazesy. Nie szczędzili też drwin na temat naszego ustroju politycznego, wrześniowego niepowodzenia, polskich władz i religii. Jeżeli chodzi o uczęszczanie do pracy, to pod tym względem byli bezwzględni. Jedynie wysoka gorączka mogła uwolnić od roboty, w przeciwnym razie groził sąd. Za niewykonanie rozkazu kierownika fermi życzącego sobie robienia z nawozu opału, byłam sądzona za tzw. *proguł*. Wyrok: sześć miesięcy przymusowej pracy w połączeniu z potrąceniem 25 proc. zarobku.

Z rodziną pozostałą w Polsce komunikowałam się do wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej. Z listów dowiedziałam się o zupełnym zniszczeniu domu i umeblowania.

W Rosji pracowałam do 12 października 1941 roku. Mimo sprzeciwu władz (z powodu braku rąk do pracy) zażądałam zwolnienia mnie z obowiązku pracy, powołując się na nowe prawa



ogłoszone z amnestią. Następnie zgłosiłam się w wojennym komisariacie, skąd dostałam skierowanie i bilet do Buzułuka. Tam niestety nie byłam przyjęta do ośrodka kobiet z powodu przepełnienia. Nasze władze skierowały mnie wraz z matką i bratem do Farabu, następnie rzeką Amu-darią do Urgenczu. Po kilku dniach pobytu na kołchozie polska placówka dostała rozkaz odesłania Polaków z powrotem do Guzoru. Podróżowaliśmy tak w okropnych warunkach, bez chleba i ciepłej strawy, odżywiając się dorywczo, od października do końca grudnia. W końcu zachorowaliśmy równocześnie niemal na tyfus plamisty. Chorobę przeszedłam bardzo ciężko. Leżałam w szpitalu sowieckim w Kogonie do połowy lutego i natychmiast po wyjściu zeń pojechałam do Guzoru. Zgłosiłam się do szefa sanitarnego pana [nieczytelne] Baruckiego i zostałam natychmiast przyjęta do pracy w szpitalu garnizonowym na oddziale zakaźnym. Od 25 lutego 1942 roku pracowałam bez przerwy, następnie wyjechałam do Pahlevi (18 marca). Stamtąd po miesiącu pracy wyjechałam do Iraku, gdzie pracuję w Szpitalu Wojennym nr 3 do dnia dzisiejszego.

8 marca 1943 r.